

Tego ranka Maisie obudziła się po źle przespanej nocy. Było pięć po szóstej. Zesztywniał jej kark, czuła ból w plecach i nawet pozostając w półśnie, zauważyła, że do tego wszystkiego doszło jeszcze lekkie ómienie głowy. Kiedy otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że siedzi przy kuchennym stole, zerwała się na równe nogi. *Jeremy*. Ruszyła chwiejnym krokiem do jego pokoju, prostując się i przyspieszając z każdym kolejnym krokiem. Pokój był pusty. Stała tam, patrząc na zasłane łóżko, które wyglądało dokładnie tak, jak w środku nocy. *Coś się stało*. Serce biło jej coraz szybciej, a do tego doszło drżenie rąk. Maisie skierowała się do pokoju Valerie. Otworzyła drzwi, a ponieważ nogi się pod nią ugięły i zrobiło jej się słabo, oparła się o framugę.

Valerie leżała na łóżku, rozciągnięta jak kot wygrzewający się na słońcu. *Mój syn też powinien leżeć w swoim łóżku*. Maisie z trudem łapała oddech. Z każdą minutą stary dobry znajomy – strach – zaczynał opanowywać całe jej ciało. Opadła bezwładnie na łóżko Valerie, ta jednak tylko jęknęła i przewróciła się na drugi bok. Maisie patrzyła teraz na jej plecy.

– Valerie – wyszeptała, kładąc dłoń na ramieniu córki. – Valerie. – Delikatnie jej dotknęła. *Naprawdę coś jest nie tak*. Czuła to. Podpowiadało jej to serce. Podpowiadała dusza. – Valerie! – krzyknęła. Zaczęła płakać.

Valerie otworzyła oczy.

– Co się dzieje?

– Valerie, przysięgnij, że powiesz prawdę, dobrze?

W normalnych warunkach Valerie zwróciłaby w tym momencie uwagę na strasznie niesprawiedliwe i raniące słowa matki, która domagała się przysięgi przed zadaniem głupiego pytania – przecież nigdy nie robiła tego w przypadku Jeremy’ego. Ale ten poranek był inny.

Działo się coś strasznego: Maisie nie wiedziała, o co chodzi, ale ogarniało ją coraz większe przerażenie.

– Czy Jeremy wrócił wieczorem na obiad?

Valerie potrząsnęła głową.

Maisie bała się zadać kolejne pytanie. Tak naprawdę знаła już odpowiedź.

– Był wczoraj w szkole?

Valerie przełknęła ślinę i raz jeszcze potrząsnęła głową.

Z ust Maisie wydobyło się wtedy dziwne połączenie jęku i pomruku.

– Kiedy widziałas go po raz ostatni? – zapytała drżącym głosem.

– W niedzielę wieczorem – odpowiedziała Valerie. Do oczu napłynęły jej łzy.

Maisie zamarła. Wzięła głęboki wdech, a potem wypuściła powietrze.

– Ma'sie?

Ostatnio widziałyśmy go przedwczoraj. Och, Boże. Wstała i ruszyła do drzwi. Kiedy położyła dłoń na klamce, usłyszała chrapliwy głos Valerie:

– Gdzie Jeremy?

Maisie przystanęła na chwilę, ale nie odwróciła się do córki. Nie chciała, żeby zobaczyła jej łzy.

– Nie wiem, kochanie, ale znajdziemy go.

Ruszyła do kuchni, cicho do siebie przemawiając i próbując się uspokoić. Robiła to, ilekroć miała kłopoty. *Wszystko w porządku, nic się nie stało. Pewnie przesiaduje z kolegami*

albo z Deirdre. Próbuje się na mnie zemścić za randkę z Fredem. Nic mu nie grozi. Próbowała sobie wmówić, że nie dzieje się nic złego, ale intuicja podpowiadała jej co innego. W myślach słyszała wołanie: Wezwij pomoc, wezwij pomoc, wezwij pomoc. Zamknęła za sobą drzwi kuchni i zaczęła gorączkowo szukać w torebce wizytówki Freda. Kiedy ją znalazła, sięgnęła po telefon i wybrała numer. Odebrał po piątym sygnale.

– Detektyw Fred Brennan.

– Tu Maisie. – Jej głos wydawał się obcy i daleki.

– Mai? – zapytał z niepokojem. – Co się stało?

Słyszała, jak z niemałym trudem wyprostował się na łóżku.

– Jeremy zaginął. – Te słowa pulsowały w jej uszach.

– Kiedy widziałas go po raz ostatni?

– Nie wrócił wczoraj wieczorem do domu, nikt nie widział go w szkole, wczoraj rano też go nie było. Ostatnio widziałyśmy go w niedzielę wieczorem! – Mówiła cicho, w pośpiechu, tak jakby w to wszystko nie wierzyła. W każdym słowie dało się wychwycić poczucie winy.

– Wszystko będzie dobrze, słyszysz, Mai? Wszystko będzie dobrze.

– Nie wydaje mi się. Coś jest nie tak, Fred. Coś się musiało stać. – Nie mogła sobie teraz pozwolić na histerię. *Oddychaj, po prostu oddychaj, głupia krowo. Histeria nic ci nie da w tej sytuacji.*

– Już jadę.

– Dziękuję.

– Wstaw wodę.

– Dobrze.

– I jeszcze jedno, Mai...

– Tak?

– Znajdziemy go.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do czajnika. Poruszała się jak robot – tak jak w dawnych czasach, kiedy znała tylko ból i strach.

Fred

Fred zjawił się bardzo szybko, jeszcze zanim obudziła się Bridie. Valerie wpuściła go i zaprowadziła do kuchni. Miała na sobie szkolny mundurek i wydawała się trochę przygaszona. Nawet nie tknęła stojącej na stole miski z płatkami. Wpatrywała się w nią w taki sposób, jakby idea śniadania kompletnie straciła sens. Fred objął Maisie na powitanie.

– Zajmę się tym – zapewnił. – Masz do dyspozycji najlepszego policjanta, jakiego mogłabyś sobie wyobrazić.

Była blada i wyczerpana, wydawała się zupełnie inną kobietą niż ta, z którą spędził poprzedni wieczór. Otoczył ją ramieniem i posadził obok Valerie. Sam usiadł po drugiej stronie stołu. Maisie nie zaproponowała mu kawy ani herbaty – nie miała do tego głowy – w tej sytuacji wyjął notatnik i długopis, po czym od razu przeszedł do rzeczy.

– A więc w niedzielę widzieliście Jeremy’ego po raz ostatni? – zapytał.

Przytaknęły.

– O której?

– To było jakieś pół godziny przed naszą... – Maisie zawahała się – ...randką.

– Czyli koło siódmej trzydzieści?

Pokiwała głową.

– Valerie?

– Widziałam go jakieś dziesięć albo piętnaście po ósmej.

Fred zapisał to w notatniku.

– Nie mówił, że się dokądś wybiera? – skierował to pytanie do Valerie.

– Nie.

– Często zostawia cię samą z babcią?

– Nie, nigdy.

– Nigdy nie zostawiłby ich samych – zapewniła Maisie.

Fred oparł się na siedzeniu i spojrzał jej w oczy.

– Zawsze jest ten pierwszy raz, Mai. On ma szesnaście lat. Zgłoszę zaginięcie i podam, że po raz ostatni widziano go około ósmej piętnaście w niedzielę, pierwszego stycznia. Okej?

Maisie wyglądała na przerażoną.

– W niedzielę, Fred. A jest wtorek! Jaka matka...

– Rave też nie pojawił się w szkole – wtrąciła się Valerie, tak jakby dopiero to sobie uświadomiła. – Wczoraj kumple szukali ich obu. Dave był wściekły, że zerwali się z lekcji bez niego.

– To dobry znak. Czy twój brat często zrywa się z zajęć?

Fred zauważył, że Valerie zerknęła z niepokojem na matkę.

– To nie ma znaczenia, nie będzie miał przez to kłopotów. Ważne, żebyś mówiła szczerze – zapewnił.

– On nigdy nie chodzi na wagary. Właśnie dlatego wszyscy go szukali. Rave czasem to robi, ale nie Jeremy.

– Dobrze, Valerie. Pojadę teraz do szkoły i porozmawiam z jego kolegami. Zobaczymy, co mają do powiedzenia.

Fred zachowywał spokój. To był dla niego chleb powszedni: takie zaginięcia zdarzały się na okrągło. *W dziewięciu na dziesięć przypadków nastolatki wracają do domu.* Zastanawiał się, czy Jeremy postanowił ukarać matkę za to, że poszła na randkę. Po chwili uznał jednak, że chłopcy pewnie uganiali się po prostu za jakimiś dziewczynami. A może pojechali na koncert albo festiwal? W pierwszym tygodniu stycznia wydawało się to mało prawdopodobne. Fred wiedział, że będzie musiał to sprawdzić. Zerknął na zegarek. Jeszcze za wcześnie na wizytę w szkole.

– Spróbuj coś zjeść – zwrócił się do Valerie. Odepchnęła miskę z płatkami, ale Fred zignorował ten drobny gest. *Wszystko będzie dobrze, kochanie.*

– A ty, Mai, może zjesz tosty?

– Udławiłabym się. Ale dziękuję. – Nagle zorientowała się, że niczego mu nie zaproponowała. – Przepraszam, Fred, pewnie jesteś głodny.

Wstała, ale on zerwał się na równe nogi, położył dłonie na jej ramionach i posadził ją z powrotem na krześle.

– Wszystko w porządku. Zjem coś na komisariacie.

– Na pewno?

– Jasne. Poza tym zmagazynowałem wystarczająco dużo tłuszczu, żeby przetrwać bez jedzenia przynajmniej dzień albo dwa. – Poklepał się po brzuchu.

Valerie przewróciła oczami, po czym oznajmiła:

– Muszę spakować rzeczy do szkoły.

– Podrzucę cię – zaproponował Fred. Jej mina wskazywała na to, że prędzej wsiadłaby do samochodu z uzbrojonym przestępcą. – Będziemy mogli jeszcze porozmawiać.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Poza tym dotrzymasz mi towarzystwa – zażartował. Posłała mu niechętnie spojrzenie, a Fred się uśmiechnął. – Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Wstała i ruszyła do wyjścia, a do oczu napłynęły jej łzy. Fred został w kuchni z oszołomioną Maisie. W pomieszczeniu narastało napięcie.

Maisie

Maisie nic nie mówiła. Czuła teraz tylko strach, który bulgotał jej w głowie. *Na pewno został porwany przez jakiegoś psychopatę. Albo wpadł do rzeki. Uciekł dlatego, że poszłam na randkę z Fredem. A jeśli jest ranny i nie może wrócić do domu? O Boże, pewnie przetrzymuje go ojciec!*

Fred przesunął krzesło Valerie i usiadł naprzeciwko Maisie.

– Czy wiesz, dokąd mogli pójść Jeremy i jego przyjaciel? Mają jakieś ulubione miejsca?

– Lubią chodzić na plażę i na wzgórze Bray Head.

Kiedy Jeremy i Rave byli młodszy, często zabierała ich do Brittas Bay i na Bray Head. Potrafili godzinami bawić się na wydmach, taplali się w wodzie tak długo, aż dostawali gęziej skórki i mieli włosy pełne piasku. Plaża wydawała się na tyle atrakcyjna, że nawet Valerie przestawała tam narzekać. Na szczycie Bray Head chłopcy jeździli do upadłego samochodzikami i kolejką, jedli lepką niebieską watę cukrową i grali w gry komputerowe, dopóki nie wydali wszystkich drobnych, które wcześniej dostali od Bridie. Valerie nie lubiła samochodzików, waty cukrowej ani gier wideo, więc kupowała sobie frytki i zjadała je w samochodzie, patrząc w morze, po czym przesiadała się na tylną kanapę i zasypiała. Maisie i Bridie spędziły wiele radosnych chwil, siedząc na ławce, popijając kawę i patrząc na śpiącą Valerie.

W pamięci Maisie najwyraźniej zapisało się drugie lato po zniknięciu Danny'ego. Mieszkali wtedy wszyscy przy Cypress Road i nie wiedzieli, że demencja zacznie wkrótce odbierać im Bridie. Jeremy i Rave mieli niedługo skończyć dwanaście lat, a Valerie siedem. Bridie uwielbiała morze. Jej ojciec był rybakiem, dorastała w Bray. Przeniosła się do

Tallaght, podążając za żołnierzem, w którym się zakochała. „To najlepsze, co w życiu mamy, Maisie – powiedziała, patrząc w błękitne niebo, na którym zaczynały się już malować różowe smugi. – To, co tu i teraz”.

Miała rację. Te cudowne chwile Maisie wspominała jako najpiękniejszy okres swojego życia. Zastanawiała się, czy matka pamięta któryś z tamtych pięknych letnich dni.

– Mai – powiedział łagodnie Fred, wrywając ją z rozmyślań.

Próbowała się uśmiechnąć. Wzięła go za rękę.

– Jestem.

– Gdzie błądziłaś myślami?

– Chodzi o to, że Jeremy nigdy by tak po prostu nie zniknął. – Do oczu napłynęły jej łzy. – Po prostu by tego nie zrobił.

Fred westchnął.

– Zgłoszę to, Mai. Musisz mi znaleźć dobre zdjęcie obu chłopców, takie, na którym wyraźnie ich widać. Na wypadek, gdyby potrzebowali tego na komisariacie.

– Okej – powiedziała.

Po policzkach spłynęły jej łzy. *To właśnie ten moment, w którym wszystko się zaczyna.* Ten moment, kiedy to, co dobre, staje się złe – miejsce, z którego nie ma już powrotu. Kiedyś taką chwilę wyznaczyło jedno spojrzenie w oczy Danny’ego, jego podniesiony głos, hałas, który rozległ się, kiedy wstał, żeby ją uderzyć. To, co działo się później, nie miało znaczenia: nie można było tego cofnąć, zmienić, unieważnić. Z tamtego punktu droga prowadziła tylko w dół. Nadeszło dobrze znane Maisie uczucie: miała wrażenie, że tonie. *Wytrzymaj. Nie daj się. Żyj dalej i się nie poddawaj.*

Valerie

Valerie ciągnęła za sobą plecak po podłodze, kiedy Fred minął ją na korytarzu. Wyciągnął telefon z kieszeni i lekko skinął do niej głową. Zatrzymała się przy otwartych drzwiach kuchni, z przerażeniem wpatrując się w matkę, która siedziała przy stole. Wydawała się całkowicie nieobecna. Przypominała babcię, kiedy ta zniknęła, pogrążając się w myślach. Valerie znieruchomiała. Nie mogła oderwać od niej wzroku.

– Słuchaj, Tom, chciałem zgłosić zaginięcie szesnastoletniego chłopca. Ostatnio rodzina widziała go koło ósmej piętnaście w niedzielę pierwszego stycznia. Jeremy Bean. Cypress Road trzydzieści cztery. Żadnych ucieczek, nie pokłócił się z bliskimi. Jestem teraz na miejscu, więc wezmę się do roboty, jeśli nie macie nic przeciwko... Świetnie. Aha, Tom, zróbcie, co tylko możecie, to ważne... Tak. Dobra. Dzięki.

To wszystko moja wina.

Fred rozłączył się i ruszył w jej stronę. Po chwili poczuła na ramionach jego dłonie. Zaprowadził ją z powrotem do kuchni i posadził na krześle.

– A teraz, młoda damo, zrobię tosty i herbatę, usiądziemy spokojnie i powiesz mi wszystko, co wiesz. Podasz mi też imiona i nazwiska wszystkich znajomych Jeremy'ego. Dobrze?

Valerie pokiwała głową.

Nie powinnam wcześniej kłamać. Mogliśmy rozpocząć poszukiwania już wczoraj.

Dlaczego skłamałam?

– Maisie, poszukaj zdjęcia Jeremy’ego i jego przyjaciela, na wypadek, gdyby dokądś pojechali.

Maisie natychmiast wstała i wyszła z pomieszczenia.

Karteczki wiszące w kuchni okazały się niezwykle przydatne. Fred bez trudu wszystko znalazł i nie musiał o nic pytać.

– Jezu, też powinienem wprowadzić u siebie coś takiego. To strasznie wygodne.

– Raczej strasznie dziwaczne – wymamrotała Valerie. *Nie wiesz, o czym mówisz.*

Postawił przed nią talerz z tostem posmarowanym masłem, po czym usiadł naprzeciw niej. Nie tknęła jedzenia.

– A więc ostatnio widziałaś brata tuż po ósmej. – Fred znowu sięgnął po notatnik.

Valerie pokiwała głową.

– Był wzburzony? Mówił coś, co mogłoby wskazywać, że dokądś się wybiera albo coś jest nie tak?

– Nie. Powiedział tylko, żebym coś zjadła, jeśli jestem głodna.

– Dlaczego?

– Mama wpadła w szał i kazała mi iść spać bez kolacji, bo nazwałam cię pajacem, a potem powiedziałam, że jestem jak mój tata.

– Och. – Uśmiechnął się. – Nieźle. I co było potem?

Wzruszyła ramionami.

– Rozmawialiśmy.

– O czym?

– Nie wiem, o jakichś głupotach. To trwało tylko chwilę.

– I nie mówił nic szczególnego?

– Nie. – *No cóż... Nie. Był po prostu w złym humorze. Każdemu się zdarza, nawet Jeremy'emu.*

– Dobrze. Zrobmy teraz listę wszystkich jego kolegów.

– Nie możemy tego dokończyć w samochodzie? – Valerie chciała jak najszybciej ewakuować się z domu. *Babcia niedługo się obudzi, a kiedy się o tym wszystkim dowie, kompletnie odleci. Muszę stąd spadać.*

Fred spojrzał na wiszący na ścianie zegar.

– Jest jeszcze za wcześnie, a poza tym nie ruszymy się stąd, dopóki nie zjesz chociaż jednego tosta.

– Sam sobie go zjedz.

– Bardzo chętnie. – Fred sięgnął po jeden z tostów i wepchnął go sobie w całości do ust. – Pycha. – Otarł masło z brody, a potem przesunął talerz w stronę Valerie. Wzięła tosta i ugryzła kawałek, a Fred szeroko się do niej uśmiechnął. Nadal miał pełne usta i wyglądało to dość obrzydliwe, ale chociaż się starała, nie mogła powstrzymać uśmiechu. *Co za świr.*

– Trzyma się z czterema chłopakami, w tym z Rave'em. Ma też parę koleżanek.

– Dobra dziewczyna.

Tymczasem do kuchni wróciła Maisie ze stertą pudeł i starych albumów, położyła je na stole.

– Możesz poszukać jego paszportu? – poprosił Fred.

– Paszportu?

– Na wypadek, gdyby postanowił zrobić sobie wycieczkę.

– O Boże.

– Nie ma powodu do paniki, to tylko standardowa procedura. Okej?

– Paszport zawsze leży w szufladzie mojej komody. – Maisie wyszła z kuchni, kompletnie oszołomiona.

Fred zapisał imiona i nazwiska wszystkich znajomych Jeremy'ego, w tym także Deirdre, a Valerie wyciągnęła kalendarz matki i po kolei dyktowała mu numery ich rodziców. Po chwili Maisie wróciła z paszportem i podczas gdy Valerie odczytywała kolejne adresy i telefony, jej matka przeglądała rodzinne fotografie. Fred uważnie obserwował Maisie i co chwila zerkał na zdjęcia, które odkładała na stół. *Taty na żadnym nie ma, jeżeli o to ci chodzi.*

Maisie dość szybko znalazła w miarę aktualne szkolne zdjęcie Jeremy'ego. Stał wyprostowany, ubrany w granatowy mundurek, a włosy miał jak zwykle starannie ułożone. Dyskretnie spoglądał w lewą stronę, na jego twarzy malował się niezobowiązujący uśmiech. Maisie przetarła zdjęcie i ostrożnie położyła na stole, w innym miejscu niż pozostałe. Później przygotowała drugi stos złożony ze wspólnych fotografii Jeremy'ego i Rave'a. Trafiło tam zdjęcie z jednego z ich pierwszych dni w liceum: chłopcy trzymali się za karki, tak jakby zamierzali za chwilę urządzić zapasy. Valerie zauważyła też fotografię wykonaną latem.

Mieli na niej nie więcej niż trzynaście lat, obaj byli w kąpielówkach – Jeremy opalony na czerwono, a Rave odgarniający grzywkę z oczu. Lśnili od wody i trzymali w górze wędki.

Valerie dobrze pamiętała tamten dzień. Była wtedy mała, ale natychmiast wszystko stanęło jej przed oczami: chłopcy siedzieli obok siebie na skałach i całymi godzinami łowili ryby w płytkiej rzece. Maisie odłożyła to zdjęcie na bok, a Valerie sięgnęła po fotografię przedstawiającą Rave'a. Siedział w oknie i lekko marszcząc brwi, grał na zdezelowanej gitarze. Miał tu około dwunastu lat i wydawał się nieco pulchniejszy niż obecnie. *Ledwo go poznałam. Wyglądał zupełnie inaczej.*

Fred sięgnął po nieduży stos starannie wybranych zdjęć i spojrzał na nie.

– Nie masz nic bardziej aktualnego? – zapytał.

– Na razie nie.

– No dobra, pora ruszać. Jesteś gotowa, Valerie? – Natychmiast wstała i ruszyła z plecakiem do drzwi. Słyszała, jak babcia zaczyna się kręcić u siebie w pokoju. *No już, chodźmy.* Rzucił jej kluczyki do samochodu. – Idź przodem.

Valerie złapała je bez trudu.

– Spotkamy się w aucie.

Nie zdołała pożegnać się z mamą, ale Maisie i tak nie zwracała na nią uwagi. Przeglądała stare zdjęcia z taką uwagą, jakby od tego zależało jej życie. *Przepraszam, mamo. Tak bardzo cię przepraszam.*

Bridie

Bridie obudził śpiew ptaków. Tak jej się przynajmniej wydawało – dopóki nie zorientowała się, że były to głosy ludzi. *Kto to?* Usłyszała jakiegoś mężczyznę. *Arthur? Arthurze, wróciłeś do domu!* Zerwała się z łóżka tak szybko, jak tylko mogła, po czym pomknęła na korytarz, gdzie zobaczyła jakiegoś rozmawiającego przez telefon brodacza. *Nie jesteś Arthurem Beanem!* Poczula tak silny zawód, że miała ochotę uderzyć nieznanego. *Kim jesteś?*

– Muszę kończyć – powiedział mężczyzna do słuchawki, po czym spojrzął na nią i wyciągnął rękę.

– Bridie – przywitał ją i natychmiast odwrócił wzrok.

Wydawał jej się znajomy, ale nie mogła go sobie przypomnieć. *Dlaczego nie patrzy mi w oczy? Nigdy nie ufaj mężczyźnie, który unika twojego wzroku.*

– Co ty tu robisz?! – krzyknęła. – Po co przyszedłeś?

Koszula nocna powiewała wokół jej nóg. Powietrze w korytarzu miło chłodziło jej nagą skórę.

– Przepraszam, Bridie – powiedział, patrząc w ścianę. – Maisie, mogłabyś tu na chwilę przyjść?

Kiedy tylko wypowiedział imię jej córki, w głowie Bridie coś zaskoczyło. *Fred Brennan. To zły człowiek. Zrobił coś złego. Ale co on takiego zrobił? Wiem, że było coś takiego, tylko co? Przestraszył mnie czymś. O co chodziło?*

– Nie potrafisz nawet spojrzeć mi w oczy. A dlaczego? Wiem, co zrobiłeś. Wiem! – Skłamała. Fred oparł się o ścianę i głośno przełknął ślinę. – *Jest winny, to nie ulega wątpliwości. Co takiego zrobił? Co zrobił?* Czują się tak, jakby to wspomnienie znalazło się w balonie, który pomknął w górę, do samego nieba. Starła się go złapać, pochwycić, ale szybko znalazł się poza jej zasięgiem.

– Bridie, proszę.

Słyszała kroki Maisie.

– Jeżeli zrobiłem coś złego, Bridie, to tylko dlatego, że mnie o to poprosiłaś – powiedział na tyle cicho, żeby tylko ona mogła go usłyszeć.

Ja? Co takiego zrobiłam? Cofnęła się o krok.

– Boże drogi, mamó. – Maisie pospiesznie poprawiła jej koszulę nocną. *Nie rozumiem.*

– Strasznie cię przepraszam, Fred. Ciągłe robi jej się gorąco.

– Nie ma problemu – oznajmił, nadal wbijając wzrok w ścianę.

– Powinieneś już iść – powiedziała Maisie. Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż jak prośba.

– Maisie? – Podszedł, żeby jej dotknąć, ale się odsunęła.

– Po prostu idź już, Fred. Proszę. – W jej głosie pojawiła się nagle jakaś dziwna ostrość.

Ona też cię tu nie chce, Fredzie Brennanie.

– Dobrze. Będziemy w kontakcie – powiedział.

Bridie czuła, że zrobiło mu się przykro. Milczała i rozpaczliwie próbowała odnaleźć tę zagubioną myśl. *Co się wydarzyło? To wspomnienie gdzieś tu jest, głęboko ukryte. Widzę jego cień. Co takiego zrobiłam? I co on zrobił?*

Fred

Fred wyszedł z domu Maisie z ciężkim sercem *Zaczynam ją tracić. Wymyka mi się. No już, Jeremy, nie rób mi tego.* Valerie czekała na przednim siedzeniu samochodu. Większość dzieci usiadłaby w tej sytuacji z tyłu, ale nie Valerie. To nie w jej stylu. *I dobrze, kochanie.*

Milczeli przez dłuższą chwilę, oboje pogrążeni w myślach. W końcu odezwała się Valerie:

– Mama dziwnie wygląda.

– Po prostu się przestraszyła.

– Jeremy jest zbyt porządny, żeby zrobić coś złego – powiedziała takim tonem, jakby nie wiedziała, czy to dobrze o nim świadczy.

– A co z tobą? – zapytał Fred.

– Babcia mówi, że kiedyś wyląduję w więzieniu. Ma nadzieję, że trafię do jakiegoś egzotycznego miejsca, bo nawet jeśli jedzenie będzie paskudne, to przynajmniej pogoda nie zawiedzie. Ma'sie mówi, żeby się nią nie przejmować. Mogę zostać, kim tylko zechcę.

– Twoja mama ma rację.

– Myślę, że byłabym całkiem niezłym przestępcą.

Fred uśmiechnął się.

– No cóż, w takim razie obie mają rację – zażartował.

Zatrzymali się przed szkołą. Wokół było mnóstwo krzyczących i śmiejących się uczniów. Valerie siedziała i patrzyła, a życie toczyło się dalej jakby nigdy nic.

– Nie musisz iść dziś do szkoły. Mogę odwieźć cię do domu – zaproponował Fred.

– Mama mnie tam nie chce.

– To nieprawda.

– Nie dziwię jej się.

– Valerie, powiedz mi, dlaczego skłamałaś?

– Dlatego, że jestem durna. – Wysiadła z samochodu. – Noleen!

Przyjaciółka odwróciła się i podeszła do niej. Zajrzała do środka.

– Kim jest ten facet? – zapytała.

Fred usłyszał jej odpowiedź: „nikim”, zanim zatrzasnęła pospiesznie drzwi i ruszyła w stronę szkoły, zostawiając go samego. Zaczekał, aż zadzwonił pierwszy dzwonek i wszystkie dzieci znalazły się w budynku, po czym schował do kieszeni notatnik i długopis. Wysiadł z samochodu i wziął się do pracy.

Maisie

Maisie usiadła na schodach i zadzwoniła do pracy.

– Dzień dobry, tu Village Dental Surgery, w czym mogę pomóc?

Odebrała Lorraine. Maisie miała ochotę się rozłączyć, ale nie mogła tego zrobić. Nie mogła stracić tej posady.

– Cześć, Lorraine. Bardzo mi przykro, ale nie dam rady dziś przyjść.

– Ach, Maisie, mamy tu dziś straszny ruch. Nie uwierzysz, ilu zjawiło się chłopaków ze złamanymi zębami.

– Przykro mi, ale nie mogę przyjechać.

– Co się stało?

– Chodzi o Jeremy’ego. Zaginął – powiedziała Maisie.

Starła się opanować emocje i udało jej się to, więc jej głos wydawał się absolutnie beznamiętny. Lorraine była straszną plotkarą i Maisie nie zamierzała mówić jej więcej, niż musiała.

– Ach, to straszne. Oczywiście, damy sobie radę sami. Powiadomię Perry’ego. Nie wiem, co powiedzieć. Jezu, to naprawdę straszne.

– Dzięki – powiedziała Maisie.

– No dobra, to trzymaj się. I dawaj znać, dobrze? – poprosiła Lorraine.

Maisie rozłączyła się. Oczywiście wyobraźni widziała już Lorraine, która porzuca swoje stanowisko w recepcji i pędzi schodami na górę do gabinetu, żeby opowiedzieć o wszystkim

każdemu, kto będzie chciał słuchać. Plotkowanie o „nieszczęsnej Maisie” wynagrodzi jej konieczność życzenia każdemu pacjentowi „Szczęśliwego Nowego Roku” przez cały dzień.

Bridie wyszła z pokoju, ubrana w świeżo wyprasowaną białą bluzkę, szary sweter i czarne spodnie. Pomięła kwestię butów i skarpetek, nie zapięła też jednego z guzików bluzki – ale poza tym wyglądała bardzo elegancko.

– Powinnam cię wykąpać – powiedziała Maisie.

– Nonsens. Jestem czysta. W dzisiejszych czasach ludzie stanowczo za często się kąpią. To niezdrowe dla skóry.

Maisie objęła matkę, która odwzajemniła uścisk. Ładnie pachniała: mieszanką czystej pościeli, płynu do prania i róż.

– Mogłabyś mnie za to uczesać, Lynn – powiedziała Bridie.

Maisie przypomniała sobie o przyjaciółce. Spełniła prośbę matki, ułożyła jej włosy i związała w kucyk, który następnie upięła w kok.

Kiedy zadzwonił telefon, Maisie pobiegła w jego stronę tak, jakby się paliło. Podnosząc słuchawkę, prawie złamała palec.

– Jeremy?

– Co? Gdzie jesteś? – zapytała Lynn.

– Och, Lynn, przepraszam. – Maisie poszła do pokoju Bridie. – Za chwilę wrócę, mamo. – Zamknęła za sobą drzwi.

– Nie zadzwoniłaś wczoraj, a teraz jeszcze się nie pojawiłaś. Wystarczył jeden pocałunek, żebyś się zmieniła, Maisie Bean.

Maisie osunęła się na podłogę i oparła o drzwi. To wszystko było takie nierzeczywiste: kiedy ostatnio rozmawiała z Lynn, życie wydawało jej się ekscytujące i pełne nadziei, ale przecież nawet wtedy, gdy plotkowały w Jingles, jej syn powinien już otrzymać status zaginionego. *Dlaczego się nie zorientowałam? Porzuciłam rodzinę, żeby uprawiać seks z Fredem. Przez trzydzieści godzin nie zauważyłam nawet, że zniknął mój syn.* Jak miała powiedzieć o tym Lynn? Albo komukolwiek innemu? Nie zasługiwała na to, żeby być matką.

– Och, Lynn. – Dotknęła dłonią czoła. *Zaraz wybuchnie mi mózg. Może to będzie najlepsze rozwiązanie.* Wyrzuty sumienia miały metaliczny posmak. Maisie brzydziła się tym, co zrobili z Fredem. Coraz bardziej bolała ją klatka piersiowa. Czuła, że zaraz zwymiotuje, i wpadała w coraz większe odrętwienie.

– Co się dzieje? – zapytała Lynn, która natychmiast spoważniała.

– Jeremy zaginał – wyszeptała Maisie.

Słyszała matkę, która krzątała się w swoim pokoju. „Wiem, że to gdzieś tutaj jest” – powiedziała w pewnym momencie Bridie.

– Od kiedy go nie ma? – zapytała Lynn.

– Od niedzieli wieczorem.

– Od niedzieli!

– Myślałam, że wcześniej wyszedł do szkoły... Jego plecak zniknął. Zabrał ze sobą dość jedzenia, żeby wyżywić pułk wojska. Wczoraj Jeremy nie wrócił do domu. A Valerie mówiła... Skupiłam się na Fredzie i... Ja ...

– Nie, nie, nie. Nawet o tym nie myśl! Nie pozwolę na to! – powiedziała Lynn, po czym zamilkła. – On ma szesnaście lat, Maisie. Uwierz mi, szesnastolatki robią głupoty przy każdej sposobności.

– Nie Jeremy.

– Słuchaj, zrób coś dla mnie i daruj sobie tę starą śpiewkę o świętym Jeremym. Boli mnie od tego głowa. Nastoletni chłopcy są zdolni do wszystkiego, nawet ci najgrzeczniejsi.

– To mi niespecjalnie dodaje otuchy – wymamrotała Maisie.

– No cóż, jest na tyle duży, że umie o sobie zadbać. Nie zrobiłaś nic złego. To nie twoja wina. Słyszysz?

– Nie zniknąłby tak po prostu.

– Och, ale zniknął. Zapewniam cię, że chociaż dzieją się tu różne rzeczy, na Cypress Road nie grasuje żaden potwór, który w środku nocy porywa nastoletnich chłopców z łóżek.

– Rave też zaginał – powiedziała Maisie.

– To dobrze. To tylko potwierdza moją teorię. Pojechali gdzieś razem i robią jakieś głupoty, uwierz mi.

To było możliwe, oczywiście, ale mimo to Maisie dręczyły złe przeczucia. Jakiś głos podpowiadał jej, że stało się coś straszego.

– Zgłosiłaś to policji?

– Fred się tym zajął.

– On jest naprawdę świetny – powiedziała Lynn.

Maisie prychnęła. *Świetny. To przez niego spędziłam pół nocy poza domem i nawet nie zauważyłam, że moje dziecko zaginęło.*

– Jeremy wróci, zanim się obejrzysz, a kiedy to zrobi, musisz być ostra i jasno zakomunikować, co myślisz o takim zachowaniu. – Lynn wydawała się przekonana, że nie stało się nic poważnego.

– Okej. – Maisie ze wszystkich sił pragnęła, żeby przyjaciółka miała rację.

– Co z Bridie?

– Zostanę w domu, przy telefonie.

– Jasne. Słuchaj, przyjadę do ciebie i ją zabiorę. Lepiej, żeby się tym dodatkowo nie denerwowała.

– Byłabym ci bardzo wdzięczna.

– Zaraz przyjadę. – Lynn od razu się rozłączyła.

Maisie wstała i ruszyła do pokoju matki. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła stojącą na środku Bridie. Wyglądała na kompletnie oszołomioną. Maisie wzięła ją za rękę i zaprowadziła do salonu. Matka podeszła do okna.

– Mam wrażenie, że deszcz nie przestaje padać – powiedziała, po czym zauważyła Kenny’ego, listonosza, który rozpaczliwie usiłował ominąć Jake’a, psa ich sąsiadki Very Malone. Maisie zrobiła matce filiżankę herbaty i też podeszła do okna, by obejrzeć pojedynek między człowiekiem a psem. – Kiedy Kenny rusza w lewo, Jake też rusza w lewo. A kiedy Kenny rusza w prawo, Jake też rusza w prawo. To strasznie zabawne. – Bridie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Jake opuścił nisko łeb i nawet przez zamknięte okno słyszały jego niskie, groźne warczenie. – On naprawdę nienawidzi tego nieszczęsnego człowieka.

W końcu Kenny zawołał:

– Vera! Halo, Vera! Tu Kenny. Mam dla ciebie listy, ale ten przeklęty kundel nie chce mnie przepuścić.

– Powinnaś chyba wybawić go z opresji – zwróciła się Bridie do córki.

– Tak, masz rację. – Maisie ruszyła do drzwi, a Kenny natychmiast nerwowo do niej podbiegł.

– Jest z nim coraz gorzej, Maisie. Mówię ci, jeśli mnie ugryzie, to już po nim. Mówię ci. Masz pojęcie, ile zastrzyków przeciwtężcowych zrobiłem sobie przez te wszystkie lata? – Podał jej kilka listów dla Very. – A te są dla ciebie. – Wręczył jej dwa rachunki opatrzone czerwoną pieczętą „zaległe”. – Przykro mi. Nie znoszę pieprzonego stycznia, to najbardziej beznadziejny miesiąc w roku.

– Taaa... – Westchnęła.

– Dzięki. – Ruszył w kierunku swojej furgonetki. Jake nadal warczał, przyczajony za krzakami, które oddzielały podjazdy Bridie i Very.

– Kenny, nie widziałeś przypadkiem Jeremy’ego? – zapytała Maisie.

Listonosz zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

– Nie. Wszystko w porządku, Maisie?

– Tak, na pewno. Ale czy mogę podać ci swój numer telefonu, w razie gdybyś go zobaczył?

Pokiwał głową, a na jego twarzy natychmiast pojawił się niepokój.

– Oczywiście. Czekaj, mam jakieś kartki w aucie. – Ruszyła za nim. Otworzył drzwi, przeszukał schowek, po czym wręczył jej kartkę i długopis. – Ach, te dzieciaki.

Zapisała swój numer i podała kartkę Kenny'emu.

– Gdybyś go widział...

– Zgłoszę to przez radio, a Mary z centrali od razu cię powiadomi.

Maisie pokiwała głową.

– A gdybyś go dorwał, przekaż mu, że mama czeka na niego w domu. – Ze wszystkich sił starała się nie rozplakać.

– Uwierz mi, jeżeli go dorwę, osobiście przywiozę go do domu.

– Dzięki.

– Czego chciał Kenny? – zapytała Bridie, kiedy córka wróciła do domu.

Maisie była pod wrażeniem. Staruszka od dawna nie wykazała się taką przytomnością umysłu.

– Niczego.

– Więc o czym rozmawialiście? – zapytała Bridie.

– Próbowałam go odwieść od planu zamordowania Jake'a – rzuciła Maisie.

Bridie zachichotała.

– Twojego Danny'ego też nie znosiły wszystkie psy w okolicy. Jezu, naprawdę go nienawidziły. Ale czy można im się dziwić?

Bridie od dawna nie wspomniała o Dannym. Lekarka mówiła, że wypróbują nowy lek, ale Maisie zrealizowała receptę dopiero dzień wcześniej i nie sądziła, żeby mógł przynieść takie efekty w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin. A jednak. Zaczęła wracać do nich dawna Bridie.

– Dziś rano był tu Fred Brennan – oznajmiła.

Maisie nie mogła uwierzyć, że matka to pamięta.

– Owszem.

– Nie lubię, kiedy się tu pojawia.

– Nie martw się, mamó, wkrótce nie będzie przychodził – obiecała Maisie. Kiedy to mówiła, coś zakłuło ją w sercu. *Nie mam na to czasu, muszę skupić się na dzieciach. Tylko ja im zostałam.*

– Znowu minęłam się z Jeremym?

– Tak, mamó. Mają strasznie dużo roboty w szkole.

– Nawet nie pożegnał się z babcią? To do niego niepodobne.

– Nie chciałam, żeby cię budził.

– Tęsknię za nim – powiedziała Bridie. – Przekażesz mu to, Maisie?

– Tak, mamó. Przekażę.

– Na wypadek, gdybym zapomniała. Jadę dziś do Lynn, kochanie?

– Zaraz po ciebie przyjedzie, mamó.

– To dobrze. Wyglądasz, jakbyś potrzebowała chwili spokoju, kochanie – zauważyła Bridie.

Maisie czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w głowę tępym narzędziem. Posadziła matkę w fotelu i znalazła jakąś wymówkę, żeby wyjść z pokoju. Poszła do kuchni i czekała na Lynn, rozpaczliwie usiłując objąć umysłem tę nową, szaloną rzeczywistość – rzeczywistość, w której matka mówiła z sensem, a syn zaginął.